№ 10.

Warszawa, dnia 27 Lutego / 11 Marca 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować.** — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

JEDNĄ Z EPOK W HISTORYI POEZYI.

Obecnie, jak wiadomo, w świecie artystycznym, niemałym cieszy się rozgłosem opera Mermeta, czerpiąca przedmiot z romantycznego cyklu, którego bohaterem jest Orland, znany powszechności z poematu Ariosta. Nie wchodząc w rozbiór przelotnego upodobania Paryżan do téj pięknéj z resztą opery, bo i to, jak tyle innych rzeczy, modą tam jest tylko, i nie więcéj jak sztucznym entuzyazmem, wolimy raczéj z téj okoliczności przedstawić naszym czytelnikom mało u nas znany, a jednak wielce zajmujący ustęp z literatury średniowiecznéj, z którego wyczerpał rzecz swoją kompozytor opery, będący zarazem autorem libretta.

Epoka ta, zakreśla się rozległym cyklem, sięgającym w jedną stronę Merowingów i Klodoweusza, w drugą zaś aż Karola Łysego. Niemniéj przecież, dzięki środkom, któremi tylko poezya rozporządzać ma prawo, Karol Wielki jest upodobanym i wyłącznym monarchą téj, niemającéj stałych krańców w czasie, krainy. Osobiste i prawie cudowne znaczenie tego syna Pepinowego, wspomnienia rodzącego się feudalizmu, a nadewszystko szalone zapasy chrześcijan z Mahometanami, których przypisywano temu Monarsze najzaszczytniejszy udział; wszystkie te względy razem wzięte, nie pozostawiły innego wyboru rozbujałéj wyobraźni ludowych pieśniarzy z tamtéj epoki.

Z kąd inąd znowu, nie szło tu wcale, jak w epoce *Okrągłego Stołu*, o jakiś nieujęty ideał. Przeciwnie, przedmiot się tu nastręczał dziwnie rzeczywisty. Szło tu, ni mniéj ni więcéj, jak o obronę ogniska cywilizacyi zachodniéj, przeciw najazdom wschodniéj dziczy. Podobnie jak w starożytności sprawa wojny Trojańskiéj była sprawą całéj znanéj naówczas Europy, tak w średnich wiekach, wszystkie sprężyny zajęcia spoiły się z wspomnieniami wojen przeciwko Saracenom. Słowem, powiedzieć można, że katolicyzm, miał u trubadurów tamtoczesnych znaczenie starożytnego niegdyś Iljonu.

Prócz tego niemało tu jeszcze dostarcza charakteru epicznego, przeważnie już ustalająca się zasada feudalna. W poematach z téj epoki, miłość a nawet wiara, istotnie nie wiele zajmują miejsca; natomiast żywioł polityczny wszędzie wyprzedza nawet głosy serca. Owszem, wyłącznym, prawie ich przedmiotem są obrazy średniowiecznego bezrządu. Każda niemal prowincja francuzka jest ogniskiem odrębnéj epopei; lada księstewko ma swego bohatéra; takiemi są, z pomiędzy więcéj znanych: Rynald z Montalbanu, Alberyk Burgundczyk, Wilhelm Książe Oranii, Emeryk z Narbonny, Ryszard Normandczyk, i wielu innych. Obok tych wszystkich bohatérów mniéj więcéj współczesnych sobie, spotyka się tu także Aleksandra Macedońskiego, w czém należy widzieć wpływ żywiołu bizatyńskiego.

Jak powiedzieliśmy, po nad całą tą feudalną hierarchią unosi się postać Karola Wielkiego. Monarcha ten potężny, z białą jak kwiat lilji po pas brodą, przewodniczy poważnie i wspaniale heroicznym czynom swoich baronów. Jednocześnie jednak, bezczynny i bezsilny, pewnego razu przegrywa Francję w szachy. Inną razą, oddaje znowu koronę za konia. Raz nawet porwano go we śnie i przeniesiono do zamku jednego ze zbuntowanych baronów. Nieustannie téż martwi się, czasem nawet płacze rzewnemi łzami, prawie tyleż co Attyla w Niebelungach. Jedném słowem, wielki ów pogromca Saksonów i założyciel ogromnego państwa, w całéj téj epopei wygląda po prostu jakby jaki zwyczajny król feudalny, ośmieszany, wyprowadzany w pole, nawet dziwnie krótko trzymany przez swoich burzliwych wassalów.

Z tem wszystkiem przyznać trzeba, że nawet dyplomata i nadania z tamtych czasów, nie wiele dokładniéj określają wzajemnie stosunki ludzi między sobą. Co krok też, spotyka się to wszystko i w epopei; stopniowanie hołdów i w ogóle wszystkie powinności udzielnych panów względem króla, wassali względem panów, poddanych względem wassali, prawą starszeństwa, zdobyczy wojennéj, łupu z rozbitych okrętów, system własności, daniny i pańszczyzny, wszystko to żyje tam i działa. Nie spotyka się tam wprawdzie egzaltacyi miłosnéj, właściwéj cyklowi króla Artusa, ale za to najdokładniejszy jak być może obraz życia feudalnego, nie już kochanka i kochankę w zaczarowanym lesie, ale za to ojca, żonę, syna, siostrę, u poważnego zamkowego ogniska. Zresztą, i życie zewnętrzne tamtych czasów, występuje w barwach nader żywych, podobnie jak je dotąd widzieć można na malowidłach szyb lub rękopismów.

Pośród tych tysiącznych opowiadań, nie mających, zdaje się końca, znaleść można na właściwych miejscach, barona w swojéj ogromnéj baszcie, czatownika na zębatych blankach, świętego w swoim odludnym klasztorze, damy białolice zrywające kwiaty ku ozdobie kaplicy zamkowéj, albo z wysokości ganków wyczekujące pomyślnéj wieści, pustelnika w głębi boru czytającego na książce zdobnéj w żywe obrazki, córę szlachetnego barona z sokołem na jabłkowitym rumaku, gońców, pielgrzymów, karły i błazna bawiącego towarzystwo w przestronnéj komnacie wykładanéj cegłą, mieszczanina u bram miasta, chłopa przy roli, chorągwie furczące na wietrze, wspaniale haftowane godła, łowy z sokołem, z drzemlikiem, sądy Boże, próby ognia, wody i pojedynku, sądy miłosne, turnieje, bohaterskie miecze mające swoje przezwiska, niecierpliwe rumaki podobnież nazywane po imieniu jak się to już spotyka u Homera, i w ogóle wszystko co stanowiło przybór i otoczenie w razie zatargów pomiędzy magnatami, wyzwania, rokowania, zniewagi, branie się do oręża, pospolite ruszenia, machiny wojenne, zasadzki, szturmy, grady strzał stalowych, głody, pomory, rzezie, równanie z ziemią zdobytych grodów, słowem całkowite widowisko tego wrzącego, to znowu cichego, przeważnie przecież wojowniczego życia, w którém stykały się wszystkie ostateczności, i to do tego stopnia, że poemata te, które z razu zdają się bredzić nie do rzeczy, przeczytane cierpliwie do końca, dają zdumiewający rezultat dziwnéj prawdy w szczególnéj harmonji, jakiéj nie przedstawia nawet najwierniejsza historya.

Tym sposobem, trubadurowie średniowieczni, wyczerpali wszystkie przedmioty, jakich im mogły dostarczyć czasy w których żyli; przecież po nad wszystkie góruje jeden, którego nigdy ani odmówić sobie, ani dość wyczerpać nie umieją. Są to turnieje i opisy utarczek, i to bynajmniéj nie utarczek miłosnych, ale bitew co się nazywa. Istotnie, wojowniczy genjusz Francyi, zdaje się być wybraną muzą tamtoczesnych pieśniarzy.

Dodajmy do tego, że dziwnie im w tém sprzyjał język owéj epoki, wielce jeszcze surowy, ubogi we wznioślejsze wyrażenia, ale za to bogaty i bardzo swobodny, ile razy idzie o szczęk broni, trzaskanie szyszaków, kruszenie włóczni, kurzącą się krew, rozpacz wassali i dymy pogorzelisk. To téż często, pośród tych epopei bez końca, gdzie nieraz zdrzymnie się śpiewak wzorem starego Homera, znak bitwy bywa zarazem zwiastunem zbudzenia się genjuszu. Wtedy opanowywa go istotnie szczere uniesienie, im gorętszy opis walki, tém silniejsze błyski poezyi. Możnaby powiedzieć o poetach tamtoczesnych, to co powiedział niegdyś Napoleon o jednym ze swych dowódzców, że umieją przenikać iskrą elektryczną swego zapału nie tylko ludzi, ale i konie. Istotnie, świetne czyny ich wyobraźni, stawiają ich na równi z ich bohatérami; boć przecież i oni także są błędnemi rycerzami swéj sztuki.

Pomimo wszystkich trudności wielce jeszcze nie rozwiniętego narzecza, śmiała ich fantazja płata olbrzymie zarysy, podobna w tém do miecza Orlandowego, ile razy błysnął pod słońce. Możnaby powiedzieć: że prawie bez pomocy sztuki, potykają się nadzy i z gołą pięścią, i nie mając innéj potęgi jak tylko męztwo własnéj myśli, wzrastają do wysokości szczytnéj prostoty, któréj po ich zejściu nie spotykamy już więcéj.

— Co nam potém, powiecie, kiedy kłamali wypadki? Zgoda na to; wszakże powtarzam raz jeszcze z pod maski tego kłamstwa, przegląda prawda, nierównie prawdziwsza od dziejów; z téj poezyi nie rzadko nieudolnéj, wieje, obok genjuszu i nieukróconéj siły, jakiś osobliwszy urok pychy miotającéj człowiekiem w samotności jego wysokich zamków, u stóp których przeglądać mógł naturę shołdowaną i przybitą do ziemi. Poezya to, nie tyle orłów Olimpijskich, ile więcéj jastrzębi i krogulców staréj Gallii.

Orland i Arcybiskup Turpin, sami jedni tylko przeżyli krwawą klęskę pod Roncevaux. Saraceni zewsząd natarczywie naciskają rycerza. Arcybiskup oddalił się w głąb doliny, poszukać mu wody do picia. Orland walczy zawzięcie; podołał wrogom i rozproszył ich na wszystkie strony. Niebawem jednak, zmożony pragnieniem, omdlewa. Wszakże dźwiga się jeszcze na potężnéj prawicy, i sięgnąwszy po róg u pasa, uderza w niego, przywołując na pomoc Karola. W téj ostatecznéj chwili, żegna się ze swoim mieczem, sławnym Durandalem. W obawie żeby się nie stał łupem rąk niewiernych, chce go strzaskać o skałę, ale raczéj skała się trzaska na wszystkie strony. Wreszcie wbija go w granit aż po rękojeść; wtedy miecz pęka w kawały, wykręcany potężną dłonią. Poczém wojownik znowu z całéj siły dmie w swój róg, aż wreszcie pękają mu płuca. Olbrzymi tén wykrzyk, silniejszy stokroć od Achillesowego, rozlega się rozgłośnem echem po przez dzieje rycerstwa i szlachectwa francuzkiego, aż do skończenia średnich wieków. Takim jest to uosobienie wielkiego wassala, zostawionego samemu sobie i potędze swego miecza.

Książe Wilhelm broni sam jeden przystępu do swojego miasta, przeciw niezliczonéj hordzie Saracenów. Synowiec jego, dziecię jeszcze, walcząc przy jego boku, ciężko jest ranny. Rycerz bierze go na ramiona i przytrzymując jedną ręką, drugą walczy do upadłego, cofając się zwolna, naciskany przez chmarę wrogów. Widzi go księżna ze szczytu blanków, i nie poznaje. W tém, opadają go ze wszad nieprzyjaciele. Wtedy z całéj siły łomocze w bramę zamkową. Otworzcie woła, jestem Wilhelm! „O nie, tyś nie Wilhelm," odpowiada na to księżna, zabraniając otwierać. „Wilhelm nie uciekałby, choćby przed wojskiem całém." Tknięty do żywego temi słowy, książe rzuca się w sam środek niewiernych; płata na wszystkie strony, rozbija, rozprasza, poczém wraca do żony jako zwycięzca. Takiem jest bohaterstwo w feudalnéj rodzinie. Legenda ta znajduje się nawet w podaniach ziemi Mołdawskiéj i Wołoszczyzny.

Gdzieś na wyniosłem wzgórzu, potykają się z sobą dwaj najlichsi wojownicy Karola Wielkiego, Orland z Oliwerem. Walka trwa już dzień cały; pozabijane konie dwóch rycerzy leżą pod ich nogami; sypią się iskry z uderzanych jak kowadło szyszaków; popękały im tarcze, poodrzucali je i walczą daléj, wreszcie pryska miecz Oliwera na przyłbicy Orlanda. „Mości Oliwerze, powiada Orland, zaprzestając walki, przynieś inny miecz, a także kubek wina, bo mi się strasznie pić chce." Jakiś wysłaniec przynosi z miasta trzy miecze i dzban z winem. Wojownicy piją z jednego kubka, i walka znowu się zaczyna. Ku schyłkowi drugiego dnia, Orland przerywa walkę i powiada:

— „Słabym się czuję, pozwól mi się położyć na chwilę, niech odpocznę. Na to mu Oliwer z przekąsem: I owszem, połóż się rycerzu, połóż się na miękkiéj murawie. Ja sobie tymczasem siądę przy tobie, i będę się chłodził wachlarzem. Wtedy dumny Orland, podnosząc głos grzmiący, zawoła: Wassalu, powiedziałem to jedynie żeby cię doświadczyć. Z chęcią bić się jeszcze będę całe dni cztery, nie pijąc ani jedząc."

W istocie, walka się wznawia. Przechodzi w poemacie mnóstwo innych wypadków, ale zawsze rzecz wraca do tego nieubłaganego pojedynku bez końca. Potrzaskali na sobie zbroje, popłatali się tu i owdzie, nic nie jest w stanie ich rozbroić. Nadchodzi wieczór, nadchodzi noc, bój trwa bez najmniejszéj przerwy. W końcu, spuszcza się z nieba obłok pomiędzy dwóch zapaśników. Z obłoku tego ukazuje sie anioł. Słodko pozdrawia obu walecznych rycerzy; w imieniu Boga który stworzył niebo i rosę, nakazuje im podać sobie ręce, zwiastując: że oba potrzebni są do boju z niewiernemi pod Roncevaux. Rycerze, drżąc jakby słabe kobiéty, są mu posłuszni bez zwłoki, wzajemnie pomagają sobie zdjąć zbroje, i uściskawszy się, siadają obok siebie na murawie, rozmawiając jak starzy przyjaciele. Taki jest obraz pana feudalnego, w jego stosunkach z Bogiem.

Wszystko to, czyż nie jest dziwnie wielkie, pełne godności, energiczne? Drżenie tych dwóch niezwyciężonych ludzi w obec bezbronnego Serafina nie jestże pomysłem w smaku prawdziwie starożytnym? nie po rzymsku, ale po grecku starożytnym, nie po bizantyńsku, ale po Homerycznemu? Otóż nie mało tego rodzaju pomysłów w zbiorze pieśni tamtych czasów.

A teraz, gdyby się kto spytał: jakie stanowisko

naznaczyć by można trubadurom w dziejach sztuki? to odłożywszy na bok fanatyczne bielmo właściwe oku erudytów, wyznać należy, że nie podobna ich kłaść na równi z poetami wieków rozległego wykształcenia umysłowego. Właściwiéj mieścić ich obok rapsodystów przedhomerycznych. Niektórzy z nich, sami wyznają otwarcie: że ich sztuka jest rzemiosłem, do takich należy autor poematu o czterech synach Aymona, który zakończa epopeję przymawiając się o sporą ilość złota i srebra. Rzeczą jest więcéj jak pewną, że trubadurowie czerpali swoje przedmioty z bajecznych kronik, które urozmaicali tylko tu i owdzie niektóremi okolicznościami własnego pomysłu. Z tém wszystkiem, również i kroniki te stwarzali poeci, główni zaś ich działacze zdają się być wyrobem fantazyi ludu. W następnych czasach, aż do schyłku średnich wieków, powtarzają się ciągle też same postacie bohaterów, tak, że nie przydano już do nich ani jednego więcéj. Sztuka jednak w niczem nie urozmaiciła tych typów; jeśliby je typami nazwać można. Istotnie, wszyscy ci rycerze są jakby jeden, poezja bez odcieni, bez indywidualnéj jeszcze cechy, zdaje się mieć, jak Klorynda Ariostowa, zapuszczoną przyłbicę. Karzeł przemawia tam tak samo jak olbrzym, magnat tak samo jak poddany; są to jeszcze formy zaledwie naszkicowane, którym bardzo ciężko dźwigać się z téj gwarzącéj po dziecinnemu otchłani zamętu, z któréj w przyszłości urodzi się dopiero świat Dantego, Ariosta, Boccacia, Calderona i Szekspira.

Pośród całego tego pomieszania żywiołów, które się zaledwie wyróżniać zaczynają, z trudnością nawet odcharakteryzowaćby można pojedyncze osobistości pieśniarzy. Nieraz pokolenia całe ciągną, jedno po drugiém, tenże sam poemat, i również trudno tam rozpoznać różnice czasów jak ludzi. Dzieła te bez autorów, są własnością powszechności, podobnie jak bezimienna architektura katedr, które zdają się być budowane bez architektów.

Bądź jak bądź, zdaje się rzeczą pewną że nie wszystkie te poemata zostały uwieńczone pismem. To co dziś posiadamy, zdaje się być tylko martwą literą rapsodyi, które w swoim czasie musiały mieć prawie wyłącznie charakter improwizacyjny. W istocie, po większéj części były one śpiewane, co im dodawało nie mało wdzięku. Z resztą, współczesnych nie tyle co nas uderzać musiały rozmaite ich braki, nie jedna okoliczność żywo związana z bieżącém życiem, sowicie je wynagradzała. Chcąc nawet wyrobić sobie istne pojęcie wrażenia jakie sprawiać mogły, należy sobie wystawić wspaniałe urozmaicenie rozrywek tamtoczesnych, które im służyły za ramy.

Przez całe półrocze zimowe, zamek feudalny przepadał spowinięty w mgły gęste. Ani turnieja, ani wojny, z rzadka tylko wędrowiec jaki lub pielgrzym, dnie posępne i jednostajne, wieczory długie i smutne zaledwie choć trochę urozmaicane grą w szachy. Nareszcie wraca wiosna, co za uciecha! Pani zamku dostrzegła pierwszy fijołek w gaiku. Równo z powrotem jaskółek, poczęto wyglądać i powrotu trubadura. Tymczasem ten ostatni, zaraz w pierwszych dniach Maja, powyprawiawszy swoich śpiewaków i kuglarzy w rozmaite strony na wsie i miasteczka, sam z arfą u pasa, udaje się stromą ścieżką prowadzącą do zamku. Zaledwie się ukazał, natychmiast, nie tracąc ani chwili czasu, zbierają się w wielkiéj komnacie mającéj posadzkę z cegły, baronowie, giermkowie, a nadewszystko damy z paziami, ażeby usłyszeć poemat, który pieśniarz utworzył przez zimę. Trubadur zaś, w obec swéj publiczności, nie czyta bynajmniéj, tylko deklamuje z pamięci. Nawet w miejscach wznioślejszych, wprowadza śpiew do deklamacji, towarzysząc sobie na arfie, czasem nawet na wiolonczeli. Zaczęcie poematu bywało nieraz pełne naiwnéj przechwałki, zarazem przedstawiało obraz słuchającego zgromadzenia.

„Posłuchajcie panowie, mówił, baronowie i rycerze, królowie i książęta, hrabiowie i znakomici dostojnicy, prałaci i mieszczanie, ludzie dobréj wiary, panie i panienki, a nawet małe chłopięta.“

Często układał swój poemat z polecenia pana zamku, który mu na ten cel pożyczał kroniki, zawierającéj w sobie stosowny przedmiot po temu. Wtedy występuje tam szereg przodkow właściciela księgi. Z resztą miejsca okoliczne, miasta, miasteczka, zamki, opactwa, klasztory, są tam dokładnie wyszczególnione po nazwiskach. W ogóle trubadur najchętniéj dotyka przedmiotów, do których jego słuchacze mają najosobliwsze upodobanie. Nadewszystko śpiewa turnieje i bitwy. Przezwiska które daje swoim bohaterom, są wprawdzie mało urozmaicone, ale za to osobliwie znaczące i energiczne.

Tak tedy, rozpowiada świetne czyny Oliwera, który konając, jeszcze dźwiga się z łoża wygrażać pięścią olbrzymowi, wodzowi Saracenów, albo łzy Rynaldowego konia, z którego giermkowie krew toczą, żeby się posilić, podczas głodu panującego w zamku, albo też wzięcie Barbastru, albo przybycie córki Emira do więzienia rycerzy, albo wreszcie skargę Karola Wielkiego, kiedy słyszy dźwięk rogu swojego siostrzeńca Orlanda, a żadną miarą nie może mu przyjść w pomoc. Pośród tych plątających się zewsząd podań, często poeta nie może sobie dać rady z ich rozwikłaniem. Wtedy poprzestaje tylko na tém że odzywa się po kilkakroć, jakby usiłując przekrzyczeć wrzawę swoich słuchaczy: Słuchajcie, słuchajcie panowie i ta formuła feudalna wystarcza nieraz, za nie jeden potężny wysiłek sztuki.

W epoce owéj, nie brakło pomysłów, ani przedmiotu do śpiewu, z tém wszystkiém język biedny był i prawie go przygniatała treść rzeczy. Nie można jednak powiedzićć, żeby dźwięczał nie strojnie, i pytanie nawet: czy ta nie okrzesana surowość jego, nie była więcéj wartą od wypieszczenia i wytworności, które przyszły późniéj. Uderzenie i rytm, który jest w powszechności przystępniejszy wrażeniom ogółu słuchaczy, stanowiły wtedy harmonię, która się dziś wydaje nieco dziką; wszakże sztuka podobna ujęta w ramy epoki, działać musiała potężnie. Uderzając dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt razy jeden i ten sam rym na końcu wiersza, koniecznie wbijać go musiano w pamięć twardego ucha starych baronów, czytając dziś jeszcze wiersz podobny w opisach wojowniczéj treści, mimowolnie wydaje się czytelnikowi, jakby słyszał miarowe rąbanie mieczów po tarczach, i potykanie się włóczniami na turnieju.

Śpiewom trubadura każdy przedmiot odbrzmiewał dźwięczne echo. Zębate mury zamków, wiatr dmący po szerokich krużgankach, śpiewy czatowników na wieżach, zgrzyt łańcuchów zwodzonego mostu, wszystko to powiedzieć można, przyśpiewywało jego harfie. To czego on sam nie mówi wyraźnie, dopowiadają to za niego wrażenia jego słuchaczy. Z nadejściem jesieni, kończy trubadur swoje opowieści, wreszcie oddala się, hojnie obdarzony przez pana zamku. Dostał na drogę kosztowne szaty, piękne zbroje, bystre rumaki w sutych rzędach. Niekiedy, pasowanym jest na rycerza, jeżeli nim jeszcze nie był. Czasem znowu unosi z sobą miłość córki, czasem nawet żony barona. Po jego odejściu, zamek znowu utraca swoje życie, wszystko zapada w ciszę i jakby odrętwiałość, aż do nowéj jaskółki wiosennéj.

Fantastyczny zakres życia bohatérów z cyklu Karolingów, zwykle domierzał się w klasztorze tak, że epopeja tamtéj epoki, kończyła się zupełnie tak samo, jak zaczynał cykl Artusa, to jest, obie spływały w legendę. Karol Wielki uznany jest za świętego. Fierabras, olbrzym Saraceński, nawraca się w końcu życia, i porwany zostaje do nieba. Na schyłku dni swoich, Rynald z Montalbanu, Oger Duńczyk i Wilhelm książe Oranii szukają schronienia w klasztorze Benedyktynów. Taki też bywał zwyczajny koniec trubadurów. Kiedy już im tchu braknąć zaczynało, zrażeni zawodami swojéj przelotnéj chwały, w pokorze i serdecznéj skrusze szli kołatać do furty klasztornéj, szukając tam przytułku na resztę życia. Wszystko wtedy brało początek z kościoła, ale też i wszystko do niego wracało; a śladem bohatérów szedł i poeta który im śpiéwał.

F. F.

---

* * *

Towarzystwo dobroczynności w Warszawie, od dość dawnego czasu bardzo chwalebny wprowadziło zwyczaj, ogłaszania przez pisma publiczne, rozwoju swéj działalności. Tym sposobem Warszawa zaznajamia się ze środkami, przedsiębranemi w celu niesienia pomocy biédnym i ratowania ich od pogrążenia się w ostatecznéj nędzy. Towarzystwo zaś jako szafarz publicznego miłosierdzia wykazuje obrót funduszów, czynność, zabiegi, starania jéj członków, i że ci nie dla tytułu, ale dla pracy i rzeczywistego dla kraju pożytku, przyjęli na siebie niezmiernie ważne obowiązki członków Towarzystwa Dobroczynności.

W ostatniém drukowaném w gazetach ogłoszeniu, Towarzystwo zdaje sprawozdanie z czynności roku zeszłego kassy pożyczkowéj, niezmiernie użytecznéj jeżeli zważemy szkodliwość lichwy a zbawienny wpływ nisko-procentowéj pożyczki. W trzystu siedmdziesięciu osobach, korzystających z tego dobrodziejstwa znajdowało się rozmaitych rodzajów rzemiosł i procederów 62: najwyższa pożyczka wynosiła złp. 1,000, najniższa złp. 80 i ta udzieloną była tylko ośmiu procederzystom, stu zaś osobom pożyczono po złp. 320. Najwięcéj z pożyczek korzystały utrzymujące się z szycia bielizny i tych było aż 96; zupełnie zaś do liczby pożyczających nienależeli szewcy, jakby na przekór przysłowiu, pozbawiającego ich nawet obuwia.

Ogólna cyfra kapitału wypożyczonego wynosiła złp. 113,440, a chociaż w stosunku do ludności Warszawy fundusz to dość szczupły, jednak dzięki i za to dobro, jakie z czynności Towarzystwa na niezamożnych pracowników spłynęło. Najwięcéj jednak zadziwia godna zawsze pochwały, pożyczka udzielona wydawcy dzieł naukowych. Smutno bowiem pomyślić, że przedsiębierstwa podobnego rodzaju musi wspomagać aż Instytucja dobroczynności publicznéj. Ale nie tylko u nas podobne ubóztwo dobrych chęci dla wspierania nauki praktykuje się, niedawno do Matycy Lwowskiéj, zgłosiły się aż dwa towarzystwa z Wiednia, jedno Cyryllego i Metodjusza, drugie akademickie Czytelni Wiedeńskiéj, prosząc, aby przez wzgląd na szczupłość ich funduszów, udzieliła im bezpłatnie po egzemplarzu swego Zbiornika naukowego. Matyca Lwowska do prośby chętnie się przychyliła, dziwiąc się zapewne przyczynie usprawiedliwiającéj żądanie.

Znając zasoby naszego Towarzystwa Dobroczynności, konieczne wydatki i trudność w gromadzeniu potrzebnych funduszów, nie można rzeczywiście dosyć nauwielbiać, zabiegłości głównego zarządu i skrzęt-

ności członków, rozwiniętych w staraniu o opiekę nad biednemi. Nie ma wątpliwości, że kołatanie o dary do serca przejętych miłosierdziem chrześcijańskiém, jest drogą najprostszą i najpowszechniéj używaną, ale uważając ogólnie naturę ludzką, nie bardzo pohopną do ofiary, prostą o nią prozbę, nazwać można pracą przykrą, mozolną, ale zbyt pospolitą. Zdobycie grosza dla biednych, dając w zamian pożytek z przyjemnością połączony, dla twórców podobnie wykonanéj myśli, przynosi zaszczyt i zasługę, i jest najwłaściwszem, godnem wielkiéj pochwały. Na téj drodze, w zdobywaniu zasiłków, głównie obecnie rozwija się Towarzystwo Dobroczynności, i pomiędzy innemi pomysłami, urządziło w Resursie kupieckiéj wystawę obrazów zbioru p. Cyprjana Lachnickiego, z któréj dochód za wejście, dla Towarzystwa przeznaczony został.

Zbiór to nader ciekawy, obrazy po większéj części pochodzą z XVII wieku, a jeden przedstawiający głowę Zbawiciela sięga aż wieku XIV wykonany przez Jana Van-Eyck, wynalazcy malarstwa olejnemi farbami. Są tam także z XV, XVI i XVIII wieku, do najciekawszych należy Diana z Poitiers dająca mamkę nowonarodzonemu księciu Alençon w przytomności Katarzyny Medicis, Marji Stuart i innych znakomitości, obraz Franciszczka Clouet zwanego Jehannet. Sądząc dzieła te, ze stanowiska na jakiém dziś stoi malarstwo, znalazłyby się pewne zarzuty, ale uważając je jako pomniki sztuki tak dalekiéj przeszłości, znakomitéj wartości odmówić nie można i przez każdego myślącego i miłującego sztukę obejrzane być winny. Mimo tego, o ile mogę sądzić, liczba osób zwiedzających wystawę nader bywa szczupłą, chociaż wejście tylko złotówkę kosztuje. Obojętność to niczém nie usprawiedliwiona, bo gdyby nawet najgorsze bohomazy były do widzenia z tak dalekiéj przeszłości, to jeszcze za obejrzenie złotówkę dać warto, tym bardziéj gdy idzie o wsparcie tak pięknie z obowiązków swoich wywiązującéj się Instytucji, i o poznanie prac malarzy razem z ich imionami zachowanych od XIV wieku aż do naszych czasów.

O naszéj Wystawie kilka słów powiem później, obogaconéj obecnie portretami dwóch arabskich rumaków i psa.

Na bruku Warszawskim pustki... ale błota po uszy, szczególniéj na przejściach przez ulice. O mężczyzn fraszka, bo w głębokich kaloszach jakoś łatwiéj im radzić, ale kobiét żal mi niewymownie. Przechodząc grzbietowatą ścieżką ubitą ze śniegu, przeskakując małe bagniste zbiorniki, popychane i potrącane przez silniejszych, co chwila albo chwieją się jak na upadnięcie, albo zsuwają w kałużę tonąc w nich często po za kostki.

Przeprawa więc nie ciekawa, a nawet i niebezpieczna, zważając na natarczywość przejeżdżających rzadko zwalniających biegu. Jeżeli błota trudno usunąć, to sądzę że nic łatwiejszego, jak wyrąbać śnieg, zepchnąć go na bok i choć na przejściach podobnego rodzaju, ułatwić jeżeli nie wygodną to przynajmniéj bezpieczną przeprawę.

Wiadomostek różnéj treści, a raczéj materjałów do dalszéj pogadanki mam sporą wiązkę. W Zakładzie Ś. Marty widocznie pomiędzy osobami zarządzającemi, powstało jakieś nieporozumienie, bo w gazetach jeden artykuł narzeka na obojętność ogółu względem Zakładu, drugi na niezaradność Zarządu. Walka więc dotąd cicha przeniosła się przed trybunał opinji publicznéj. Sądząc z wymówek na brak współczucia, zdaje mi się że przyczyna niepomyślnego rozwoju pracowni Ś. Marty, spoczywa w dzisiejszym Zarządzie. Dobry bowiem i tani towar zawsze przywabia, jak zły i drogi odstręcza, handel zaś, przedsiębierstwo i każda fabryka lub pracownia, nie rozwija się współczuciem, tylko dostarczaniem kupującym jak najtańszych i najlepszych wyrobów. Gdy ten warunek jest dopełniony, wtenczas pragnących korzystać z takiego zakładu nigdy nie braknie.

Przejęci tą prawdą fabrykanci nasi świec stearynowych, doprowadzonych do możebnéj... niedoskonałości, bo kopcących już jak łojówki i często uposażonych dwoma knotami, a czasami ani jednym, od kilku tygodni wzięli na kieł i cenę podwyższyli. Ciekawym jakie nowe ulepszenie będzie tego następstwem, czy knoty zupełnie zostaną skasowane, czy też pomnożone do nieskończoności? Wnosząc ze staranności i sumienności dotąd rozwijanych przez fabrykantów, na pewno niemal można wróżyć że przy oświetleniu stearynowém w krótce staną się niezbędne... szczypce do knotów i maszynki do ich wkręcania.

Jeszcze jedno.

Dni temu kilka w sklepach starozakonnych, spotkałem damy z prowincji przybyłe, które targując się o kupno przedmiotów, narady robiły w języku francuzkim, jako przypuszczalnie nie rozumianym przez kupca i do tego żyda. Był to błąd zdradzający niezmiernie brak znajomości poloru stołecznego: trzeba bowiem wiedzieć, że w Warszawie żydzi handlujący to nie prowincjonalni, i że wielu pomiędzy niemi obok wykształcenia nie tylko umie po francuzku, ale nawet po angielsku, włosku i niemiecku. Ogólnie zaś wszystkie prawie osoby handlowi oddające się, tak chrześcjanie jak starozakonni wybornie posiadają przynajmniéj niemiecki i francuzki język, i do tego lepiéj niezawodnie od niejednéj i niejednego, lubiącego popisy z francuzczyzną.

Nowości muzyczne.

Lyre Française od N. 968 do 989 obejmująca zbiór śpiewów rozmaitych autorów, odznacza się rozmaitością stylu i charakteru, a szczególniéj lekkością prawdziwie francuzką i szerokością ram swoich i pomysłów. Wszystkim udatności nie brak, do najgustowniejszych można policzyć następujące:

N. 970. *L'esprit du Mal* muzyka Berjota syna na głos basowy N. 971, 972, 973, muzyka Fer. Baré. Z tych dwa pierwsze śpiewy w rodzaju romansu bardzo melodyjne szczególniéj drugi; ostatni odznacza się dziwną lekkością. N. 988 i 989 muzyka Luigi Bordese na bas lub kontralt. Autor ten najczęściéj, osoby historyczne stara się przedstawić w muzyce, czyli za jéj pomocą odwzorować pewną daną epokę. Myśl bardzo szczęśliwa, ale niezmiernie trudna do wykonania, bo nie tylko wymaga ogromnego talentu, ale i wykształcenia gruntownego i szczegółowéj znajomości historji muzyki. Ze wszystkich znanych podobnych utworów, najwięcéj mają zalet Joanna d'Arc, Luter, Marja Stuart, Wilchelm zdobywca i Petrarka.

N. 982, 983, 986 muzyka Lutgena w stylu bardzo romantycznym. N. 978 muzyka Laumberta piosnka udatna i do tego skromna w formie i akompaniamencie. Słowa pełne prostoty i treścią bardzo wymowne. N. 976, 977, 980 muzyka Garjela, pieśni nader zręcznie i gustownie ułożone, należą jednak do cokolwiek trudniejszych. W dwóch ostatnich, melodja prowadzoną jest rytmem walca, w pierwszéj rytmem polki. *A. B.*

O UBIORACH.

W modach dzisiejszych, zacząwszy od kapeluszy, które z piramidalnych i nasadzonych z wierzchu kwiatami i piórami zamieniły się w skromne fanszoniki, aż do sukien i okrywek, wszystko zaczyna powracać do dawnéj prostoty. Wprawdzie daje się jeszcze widzieć wiele sukien zbytecznéj szerokości z powłóczystemi ogonami, zwykle zawadzającemi i przydeptywanemi w salonach, ale suknie te zaczynają się już zwężać i skracać stosunkowo, z tąd na mniejszych rozmiarach spódnicy, mniéj nierównie potrzeba ozdób.

Kolor fijołkowy i granatowy najmodniejszy jest w téj porze roku, tak na suknie jak i na okrywki. Do strojnego ubrania noszą suknie atłasowe w aksamitne paski, widać także materje *poult de soie* przerabiane w aksamitny rzucik lub z odpasowanym szlakiem aksamitnym. Staniki teraźniejsze są dwojakie: jedne z szerokim pasem, drugie z baskiną w rozmaitym rodzaju. Baskiny właściwe są dla osób cokolwiek pełniejszych, gdyż przedłużają stan, kobiety szczupłe trzymają się powszechnie okrągłych staników obciśniętych pasem. Klamry na codzień noszą stalowe, srebrne emaljowane czarno albo z konchy perłowéj, do ubrania służą gładkie złote lub wysadzane kamieniami.

Bluzki tak jedwabne jak i kaszmirowe w rozmaitych kolorach niewychodzą z mody. W magazynie pana Thonesa widzieliśmy bardzo ładne Garybaldki z białego kaszmiru naszyte galonkiem tureckim i czarną koroneczką po złp. 53 gr. 10. Zalecamy bluzki takie gdyż się nie gniotą, nie tak prędko brudzą jak muślinowe i doskonale się piorą. Kaftany marynarskie z białego *drap de velours* z wyłogami aksamitnemi i guzikami odpowiedniemi do koloru kołnierza i mankietów, kosztują po złp. 120. Po téj saméj cenie i z tego samego materjału, znajdują się kaftany szafirowe, fijołkowe i pąsowe. W tymże magazynie znaleść można wybór prześlicznych wyrobów szmuklerskich do sukien i okryć. Epolety z pasmanterji jedwabnéj kosztują od złp. 13 gr. 10 do złp. 20 akselbandy czyli epolety złożone z grubych sznurów jedwabnych i grelotek do ubierania sukien po tejże są cenie. Szlaczki tureckie do naszywania bluzek i kaftaników płacą się po złp. 1 gr. 10 łokieć.

Jedwabne suknie obszywają u dołu grubym sznurem, często przerabianym paciorkami z lawy lub też sieczką odpowiedniego koloru. Dajemy tu opis kilku sukien odznaczających się wytwornym gustem.

Suknia czarna mantynowa na zszyciu każdego bryta u dołu, wycięty miała trójkąt z pod którego wyglądała materja fijołkowa układana w rurki w kształcie wachlarza. Dół sukni zakończony w zęby obszyty, był sznurem z pasmanterji. Od góry na każdy trójkąt spadał czarny jedwabny kwaścik. Stanik otwarty z przodu miał do koła nie wielką baskinę zakończoną w zęby, obszyte sznurem, przednie części zrobione formą kamizelki z fijołkowéj materji. Rękawy ścięte do łokcia obcisłe, miały u ręki i na ramieniu naszyty trójkąt z fijołkowéj materji, przybrany pasmanterją i kwastami.

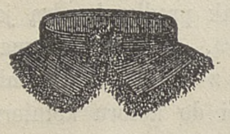
Suknia czarna jedwabna w cienką kratkę jasno szafirową, ze spódniczką u dołu wyciętą w zęby obłożone szafirową aksamitką. Na każdym zszyciu brytów idą od dołu w górę trzy ukośne kwadraty (losanges) z aksamitu szafirowego dane jeden nad drugim. Stanik gładki objęty w stanie pasem aksamitnym szafirowym. Rękawy wązkie. Do téj sukni przeznaczony był paletocik szafirowy pluszowy krótki ze stalowemi guzikami. Uważaliśmy także suknię popielatą popelinową, obszytą u dołu sznurem czarnym. Na



zszyciu każdego bryta naszyta była trzy razy wązka aksamitka. Przez to naszycie przechodziła takaż aksamitka w poprzek z wypuszczonemi na obie strony pukielkami. Stanik z baskiną przybrany był stosownie, równie jak epolety i mankiety u rękawów.

Paty szerokie z wielkiemi klamrami ciągle się

utrzymują. Oprócz zwyczajnych pasków z cięzkiéj wstążki *gros grains* robią je z pasmanterji, spięte na szmuklerską klamerkę, lub skórzane z klamrą również



skórzaną. Widać także paski jedwabne lub aksamitne z wypuszczoną u dołu baskiną. Pasek spina się z przodu na rozetę z czarnéj koronki, baskina obszywa się téż koronką na dwa palce.

Do ubrania głowy noszą bardzo czepeczki *à la Marie Stuart*. Czepeczki te składają się z woalika czarnego lub białego spadającego na warkocz i z maleńkiego rondzika z czarnego albo fijołkowego aksamitu, mocno wgiętego na środku, a podniesionego w górę po bokach. Rondo to obszyte brzegiem sznurem czarnych lawowych albo białych pereł, ładnie okrąża nioby. Zamiast woaliki można dać z tyłu barbę czarną lub białą koronkową.

Do mniejszego ubrania noszą siatki zwane także *à la Marie Stuart* przerabiane w podłuż wielkiemi paciorkami w rozmaitych kolorach. Paciorki te mniejsze w górze powiększają się stopniowo spadając na koki z włosów. Ubranie siatki składa się z maleńkiego ronda aksamitnego zakończonego odpowiedniemi paciorkami. Młode panienki zamiast rondka, opasują tylko siatkę aksamitką i przewiązują nad kokiem z długo spadającemi końcami.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń no poszewkę do haftu atłaskowego.

N. 2 i 3. Narożniki do krawatek. Jedwabne haftują się kolorowym jedwabiem, muślinowe białą bawełną, atłaskiem.

N. 4. Połowa kołnierzyka płóciennego do ściegu przewłóczonego. Desenik na około i ptaszek w narożniku mają tylko haftowane kontury.

N. 5. Połowa kołnierzyka do powyżéj opisanego ściegu z robaczkiem w narożniku.

N. 6. Kołnierzyk z dubeltowego płótna. Kółeczka w skrzydłach ptaszka powinny być przekłute czyli ażurowe. Wszystkie trzy kołnierzyki bardzo też odpowiednie do kolorowych bluzek z deseniem wyszytym czarną włóczką.

N. 7. Mankiet zapięty na guziczki od strony łokcia. Ptaszki i motyle należą dziś do najmodniejszych deseni na kołnierzyki, mankiety, chustki do nosa, krawatki i t. d.

N. 8. Deseń na wstawkę.

N. 9. Szlak do chustki od nosa batystowéj, haftowany *nad* obrębem i *na* gładkim obrębie w drobny rzucik.

N. 10. Szlak do chustki od nosa z narożnikiem. Desenik w zęby przypada na gładkim obrębie, szlaczek prosty na pojedynczéj chustce.

N. 11 i 12. Szyfonierka z niebieskiego aksamitu albo materji, wyszyta czarnym jedwabnym sutaszem i perełkami.

N. 13 i 14. Desenie na falbanki albo na karczki do koszul damskich.

—N. 15. Deseń do ściegu przewłóczonego czarną włóczką, na koszulki białe kaszmirowe.

N. 16 Mankiet płócienny.

N. 17 Kołnierzyk płócienny stojący ze spadającemi końcami, haftowany atłaskiem.

N. 18 Szlak do chustki od nosa batystowéj haftowany nad gładkim obrębem.

Opis formy kaftanika marynarskiego dla chłopczyka 9cio letniego i formy majtek dla panienki 12sto letniéj.

1. Forma majtek.—Połowa każda powinna się krajać w całości.

N. 2 Część oznaczona tym numerem idzie do przodu.

N. 3 Połowa paska do majtek, podszywa się z tyłu listewką i nawleka tasiemką do ściągania. Na przodzie pasek skośno zeszyty.

N. 4. Całość majtek. U dołu ozdobić je można haftowanym szlaczkiem, zakładkami albo wstawką powyżéj gładkiego obrąbka.

N. 5. Przednia część marynarki dla chłopczyka 9cio letniego. Guziki przyszywają się z obydwóch stron.

N. 6. Połowa pleców.

N. 7. Rękaw do tegoż kaftanika. Druga połowa rękawa oznaczona napisem.

N. 8. Całość kaftanika. Marynarki takie noszą z korciku, gładkiéj popeliny albo też w lecie z jasnéj piki

N. 9. Alfabet do znaczenia prześcieradeł, poszewek i obrusów dużych. Do przenoszenia wszelkich deseni na bieliznę, potrzebny jest papier szafirowy, który się znajduje w składach materjałów piśmiennych po groszy 24 arkusz. Położywszy go na bieliznę prawą stroną, przyłożyć na wierzch deseń i wyciskać za pomocą cienkiego dłuta kościanego albo drutu od robienia pończochy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oraz formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 10 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 27 (11) Marca 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

— Jestem pewna, rzekłam do niéj, że zamyślasz opuścić Lowood?

— Ja? odpowiedziała, patrząc na mnie z nieudaném zdziwieniem. Czemużbym miała o tém myśleć? Umieszczono mnie tutaj dla mojego wychowania, na cóżby mi się zdało wyjść ztąd zanim się ono ukończy?

— Ależ panna Seatcherd (tak się nazywała owa nauczycielka), jest tak okrutną dla ciebie.

— Okrutną? bynajmniéj, ona jest tylko surową, nie znosi wad moich.

— Gdybym była tobą, to bym ja jéj nie znosiła. Gdyby mnie biła jak ciebie bije, wyrwałabym jéj linję z ręki i połamałabym ją na jéj twarzy.

— Jestem pewna że nie zrobiłabyś nic podobnego. Gdybyś tak postąpiła, zostałabyś wypędzoną z zakładu, coby zmartwiło bardzo twoich krewnych. Daleko jest lepiéj znieść przykrość, która dotyka tylko nas samych, jak zasmucić złością tych, którzy nam są życzliwi. Wszakże i Biblia każe płacić dobrém za złe.

Słuchałam téj przemowy, nie bardzo w niéj smakując. Ten zupełny brak obrazy dziwił mię niepomału. Przeczuwałam jednak, w głębi duszy, że Helena posiadała, do sądzenia rzeczy ziemskich, jakieś światło wewnętrzne, którego mnie brakowało.

— Powiadasz Heleno, mówiłam daléj, że masz wady. Jakież są te wady? Ja ich wcale nie widzę.

— Bo sądzisz mnie tylko z pozoru. Prawdę mówi panna Seatcherd dowodząc żem niedbała i nieporządna. Niemam żadnego ładu w moich zajęciach, nie umiem przyłożyć się pilnie do niczego. Wszystko to musi koniecznie razić pannę Seatcherd, która jest niezmiernie porządna i akuratna.

— I bardzo téż złośliwa, bardzo okrutna, dodałam.

Helena odpowiedziała mi tylko milczeniem.

— Ale nareszcie, zawołałam po chwili, czemuż się nie starasz być uważną i porządną? Wszakże to nie jest rzeczą trudną.

— Dla ciebie, wierze temu, kochana Joanno. Przypatrywałam ci się dzisiaj podczas lekcyi i widziałam twoją pilność. Wczasie wykładu i zadawania pytań, nie było w tobie jednéj myśli, którażby nie była obecną i gotową na twoje rozkazy. Ze mną bywa wcale inaczéj, i nieraz mi się zdarza, kiedy panna Seatcherd do mnie mówi, że stopniowo oddala się odemnie nawet dźwięk jéj głosu. Wpadam w rodzaj snu niby, zdaje mi się jakbym była przeniesiona do Northumberlandu, i jakby ten szmer, który dochodzi moich uszu, był od tego strumienia co płynie przez Depleen, obok naszego domu... A kiedy nadejdzie na mnie koléj odpowiadania, to mi jest jakbym się ze snu zbudziła, ztąd nie dziw iż braknie mi odpowiedzi w porze właściwiéj.

— Odpowiadałaś jednak bez pomyłek dziś rano.

— Trafem tylko, dla tego, że treść lekcyi mię zajęła. Była mowa o Karolu I-szym, więc zamiast marzyć o naszym domku, dziwiłam się temu, że król tyle prawy i sumienny, mógł postępować nieraz z taką niesprawiedliwością, z takim brakiem mądrości a nawet i prawości. Blaski korony olśniewały zapewne wzrok jego... A jednak, pomimo tego wszystkiego, kocham tego Karola... Czuję głębokie poszanowanie, wielką litość dla tego nieszczęśliwego króla... O tak, nieprzyjaciele jego przekroczyli swoje powołanie, wylali krew, któréj nie mieli prawa wylewać... Jakże się mogli odważyć skazać na śmierć Karola Stuarta?..

Helena mówiła wyraźnie do siebie saméj zapominając, że mi zadaje pytania na które nie mogę jéj odpowiedzieć.

Wróciłyśmy wreszcie do przedmiotu naszéj roz-

mowy. Probowałam dowieść Helenie, że zemsta jest nietylko prawem ale i obowiązkiem, ponieważ służy za naukę temu, który ją wywołał. Przedstawiałam, iż jest równie wrodzoném uczuciem opierać się niesprawiedliwości, jak poddawać się karze zasłużonéj, nienawidzieć tego, który nas nienawidzi, jak kochać tego, który nas kocha.

— Tak myślą dzicy ludzie, i poganie myśleli tak samo, odparła spokojnie Helena, ale chrześcjanie odrzucają te zasady i wypierają się ich.

— Dla czego?

— Dla tego, że nie gwałt rozbraja nienawiść, nie zemsta naprawia niesprawiedliwość. Słuchaj co mówi Chrystus, bierz Jego słowa za zasadę, Jego czyny za przykład.

— Cóż on więc mówił?

— Mówi: „kochajcie waszych nieprzyjaciół, błogosławcie tym, którzy wam złorzeczą, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.”

— Taką rzeczą, zawołałam, musiałabym kochać Panią Reed, a nie zdobyłabym się na to. Musiałabym błogosławić Jana, a to jest niepodobieństwem.

Tutaj wypadło mi obznajmić nieco Helenę z moją przeszłością, i odtąd nasze stosunki stały się coraz bardziej ścisłemi.

Zaledwie bym umiała powiedzieć ile czasu trwała nasza przyjaźń, tak mi się wymyka miara tych lat, które upływały dla nas zwolna, choć niepostrzeżenie w Lowood. Pamiętam tylko że jednéj z owych wiosen zabójczych o których wspominałam, znalazłam się samą w ogrodzie napełnionym kwiatami, samą już, — bez téj wybranéj mojego serca, któréj wpływ był mi tyle słodki i tyle zbawienny.

Helena była chora i przez kilka tygodni nie było mi wolno się znią widzieć. Nie wiedziałam nawet w jakiéj części domu ją umieszczono, bo nie była w lazarecie przeznaczonym dla chorych na febrę i nie miała téż tyfusu. Na wszystkie moje zapytania, odpowiadano, że zapadła na konsumpcyę, a te słowo nie wyraźne dla mnie, przedstawiało tylko mojéj wyobraźni lekkie osłabienie, łatwe do uleczenia i mające koniecznie ustąpić z czasem przy troskliwości i wypoczynku.

Przytem, i to mnie bardziéj jeszcze uspokoiło, że widziałam parę razy z okna sali naukowéj, kiedy powietrze było całkiem ciepłe, Helenę idącą do ogrodu, wspartą na ramieniu Panny Temple, najbardziéj od nas kochanéj nauczycielki. Nie pozwalano mi wtedy biedz do ogrodu, aby z nią rozmawiać i zaledwie mogłam ją poznać, tak była otuloną i zasłoniona zielonym woalem, który twarz jéj zakrywał.

Jednego wieczoru, w miesiącu czerwcu, w powrocie z lasu, dokąd nas zaprowadzono na przechadzkę, zobaczyłam przy świetle księżyca, konia Pana Bates, lekarza naszego zakładu, stojącego przed kratą ogrodu. Jedna z nas zrobiła uwagę, że musiała być która z chorych w wielkiém niebezpieczeństwie, kiedy posłano po lekarza w tak późnéj godzinie. Mało uważałam w téj chwili na te słowa, zatrzymałam się przed moim ogródkiem, aby w nim posadzić pęczek korzeni, które z lasu przyniosłam. Ale kiedy zostawszy sama wśród woni, która się unosiła z kwiatów odświeżonych rosą, podziwiałam urocze blaski zachodu, który obiecywał nazajutrz dzień równie pogodny i patrzałam na wschodzący księżyc podnoszący się na ciemnym nieba błękicie, pomyślałam z kolei jak smutno było chorować i leżeć w łóżku wtedy kiedy świat był tak piękny, a o ile smutniéj jeszcze byłoby rzucić w téj porze ten świat promienny, woniejący, uroczy, aby pójść, rzuciwszy go — w światy nieznane i niepojęte.

Wtedy umysł mój począł się wysilać, aby rozjaśnić nieco wyobrażenia jakie miałam o przyszłem życiu, ale cofał się trwożnie przed ciemnościami, które go zewsząd ogarniały, przed tą bezdenną przepaścią, która zdawała się chcieć go pochłonąć, skoro tylko probował opuszczać jedyny punkt stałego dla siebie oparcia — rzeczywistość chwili obecnéj.

W tém roztwarły się główne drzwi domu i ukazał się Pan Bates, odprowadzała go jedna z kobiét mających dozór nad szpitalem. Skoro wsiadł na konia a ona zabierała się do zamknięcia kraty, wtedy pobiegłam pytając się.

— Jak się ma Helena Burns?

— Nie dobrze.

— Czy to dla niéj przyjeżdżał Pan Bates?

— Dla niéj.

— Cóż o niéj powiada?

— Że nie długo już tu zabawi.

Obecne usposobienie mojego umysłu sprawiło, iż nie pomyliłam się ani na chwilę co do znaczenia tych słów. Pojęłam od razu niebezpieczeństwo w jakiém się znajdowała Helena, wyobraziłam ją sobie liczącą już ostatnie życia godziny i mającą być niebawem uniesioną w ową tajemniczą krainę o któréj marzyłam przed chwilą.

Było to wrażenie nieopisanéj boleści, po którém nastąpiło niepohamowane pragnienie oglądania raz jeszcze téj drogiéj istoty. Ale jak ją znaleść? Służąca powiedziała mi że Helena mieszkała w po-

koju Panny Temple, ale tyle tylko mogłam się od niéj dowiedziéć, bo zaraz po tych słowach, lękając się wieczornego chłodu, odprowadziła mnie do sypialni. Właśnie wtedy biła dziewiąta.

We dwie godziny póżniéj, skoro panujące wszędzie milczenie dało mi pewność że nikt już w domu nie czuwał wysunęłam się z łóżka po cichu i narzuciwszy na prędce suknię, wybrałam się na wyszukanie wskazanego mi pokoju. Znałam drogę, przytém dopomagało mi światło księżyca wpadające promieniami przez okna w długie kurytarze. Kiedy jednak przyszło przechodzić pod drzwiami szpitalnemi, z kąd wychodził silny zapach kamfory i octu od kadzenia, serce mi się ścisnęło okropnie, na myśl że za najmniejszym szmerem mogła wyjść dozorczyni. A jednak, widziéć Helenę, stanowczo postanowiłam.

Przebywszy szczęśliwie te trudności, znalazłam się wreszcie przed drzwiami, których szukałam. Jasny promień światła wybiegał przez dziurkę od klucza i drzwi były nawet cokolwiek uchylone, zapewne dla odświeżenia powietrza.

Nie wachałam się ani chwili. Byłam już pewną że zobaczę Helenę, ale czy ją zobaczę żywą, czy umarłą?

Wszedłszy ujrzałam tuż obok łóżka Panny Temple, i na pół zakryte jego kotarą, wązkie posłanie, na którém odznaczały się kształty ludzkiéj postaci. Twarz zasłaniała mi firanka. Obok, spała ta sama służąca z którą wieczorem rozmawiałam, świeca o długim knocie dopalała się posępnie na stole.

Panna Temple nie znajdowała się, na moje szczęście w pokoju, zajęta była bowiem pilnowaniem innéj choréj, będącéj w gorączce.

Postąpiłam naprzód i dotknęłam ręką firanek, ale gdy je miałam rozsunąć, uczułam z nagła trwogę.

— A jeśli to ciało.... jest jéj trupem? pomyślałam.—Heleno, czy nie śpisz? rzekłam jak najciszéj.

Usłyszała wtedy szmer lekki, firanka się uchyliła, jakby sama z siebie, i ujrzałam twarz bladą, wychudłą, lecz zupełnie spokojną.

— To ty Joanno? zapytała Helena, tym wdzięcznym głosem, który mnie tyle razy swym urokiem zachwycał.

— Nie podobna umierać z tym wzrokiem spokojnym, z tym głosem tak słodkim, pomyślałam schylając się nad łóżko, aby uściskać moją ukochaną Helenę. Czoło jéj było zimne, twarz zimna także i wyniszczona, ręce też zdrobniały, jeden tylko uśmiech pozostał jak dawniéj.

Opowiedziałam jéj w kilku słowach, że dowiedziawszy się iż była słabszą, nie mogłam zasnąć nie zobaczywszy jéj.

— Otóż przyszłaś, rzekła, właśnie w porę aby mnie pożegnać.

— Odjeżdżasz więc Heleno, wracasz do siebie?

— Tak jest odpowiedziała, do siebie—do siebie na zawsze.

Łzy mi stanęły w oczach i nie umiałam znaleźć słów dla zaprzeczenia temu grobowemu przeczuciu. Gwałtowny kaszel, który nie przebudził jednak służącéj, nie dał mówić Helenie przez kilka minut. Rzekła potem, lecz już daleko ciszéj.

— Joanno przyszłaś tu boso, to nie dobrze, połóż się na łóżku i schowaj nogi pod kołdrę.

Uczyniłam co chciała, położyła na mnie rękę, a ja się do niéj przytuliłam.

— Jestem szczęśliwa, prawdziwie szczęśliwa, Joanno mówiła daléj po dosyć długiém milczeniu i oszczędzając reszty swego głosu; kiedy ci powiedzą że umarłam, nie zasmuć się, bo nie warto się tém smucić. Wszakże zawsze trzeba kiedyś na tém skończyć, a choroba, która mię zabiera nie ma nic dotkliwego. Wzmaga się ona stopniowo, bez cierpień prawie, zostawiając duszę w spokoju. Nikt mnie żałować nie będzie, ojciec mój ożenił się niedawno powtórnie, potrafi obejść się bezemnie. Smierć wczesna uchroni mię od wielu cierpień. Brakowało mi wszystkiego czego potrzeba do utorowania sobie drogi wśród świata. Zawsze i wszędzie uskarżano by się na mnie, strofowano by nieustannie.......

— Ale, Heleno moja, odważyłam się powiedziéć, czyż ty widzisz, czy ty wiesz do kąd idziesz?

— Idę do Boga, bo wierzę w Niego, liczę godziny, które mnie dzielą jeszcze od chwili, która mi Go ukaże. Bóg mi jest ojcem i przyjacielem.

— A ja, czy zobaczę cię, jak umrę?

— Bez wątpienia, znajdziesz mnie tam, wysoko, u Tego, który nas obie rzucił na tę ziemię.

Wiele jeszcze zapytań cisnęło się do ust moich, lecz jéj wiara tak spokojna zawstydzała mnie. Wstrzymałam je i tuliłam się tylko coraz czuléj do mojéj drogiéj Heleny jakby myśląc, że się ona myli i że jeszcze potrafię zatrzymać przy sobie.

— Jakże się czuję dobrze teraz, mówiła daléj. Ten kaszel tak mnie był zmęczył, teraz sen mię już morzy.... Nie odchodź, Joanno, lubię cię czuć tuż przy sobie. Ale czy ci jest aby ciepło, moja droga?

— Ciepło mi, odpowiedziałam, i nikt mnie z tąd oderwać nie zdoła.

— Dobranoc, Joanno!

— Dobranoc, Heleno.

Pocałowałyśmy się czule i zasnęłyśmy wkrótce obie.

Dzień już był jasny kiedy się obudziłam. Usłyszałam w koło siebie ruch niezwykły i otwierając oczy, ujrzałam się na rękach służącéj, która mnie niosła do sypialni. Nie połajano mnie jednak za moją nocną wycieczkę, ale nie chciano odpowiadać na żadne moje pytania. Tylko w parę dni po tém, dowiedziałam się że Panna Temple, wracając do siebie o świcie, znalazła mnie obok Heleny na wązkiem jéj posłaniu, z rękami zarzuconemi w około jéj szyi i z twarzą opartą o jej ramię. Spałam, a Helena już nie żyła.

Nie wiem czy potrafiłam wykazać tu dość jasno, że gdyby nie przyjaźń Heleny i wpływ jéj zbawienny, nie byłabym odniosła żadnéj korzyści z pobytu w Lowood, a to z przyczyny owego żywiołu niesforności, nieugiętości, że tak powiem męzkiéj, jaki przemagał w moim charakterze. Pamięć ukochanéj przyjaciółki, a przytem wdzięczność jaką czułam dla Panny Temple, nauczycielki pełnéj dobroci dla mnie, sprawiła że będąc przez sześć lat uczennicą, a przez dwa lata już nauczycielką w zakładzie, korzystałam gorliwie ze wszystkich środków wykształcenia, jakie mi się nastręczały, a oprócz tego, oddawałam się z własnego popędu bardziéj jeszcze poważnym naukom. Stałam się dosyć biegłą w muzyce, nauczyłam się téż z łatwością władać pędzlem, mając wrodzone upodobanie przenosić na papier widzenia bujnéj wyobraźni, która unosiła mnie nieraz po za okres życia rzeczywistego.

III.

Po tych ośmiu latach, panna Temple poszła za mąż. Odtąd Lowood stał się dla mnie nieznośną pustynią. Spostrzegłam wtedy że to co uważałam dotąd w sobie za rozsądek, za wolę już ustaloną postępowania daléj w pokorze po skromnéj ścieżce wytkniętéj mi przez Opatrzność, że to wszystko zawdzięczałam tylko wpływowi przyjaźni i rad zbawiennych Panny Temple. Wraz z nią opuściła mnie spokojność umysłu, z nią uleciało szlachetne postanowienie przepędzenia życia tam gdzie mogłam być pożyteczna, oddając sierotom nauki, które, jako sierota, zawdzięczałam miłosierdziu drugich.

Po pewnym czasie przekonałam się wreszcie, że nie potrafię znieść dłużéj ciasnego widnokręgu naszego zakładu. Myślałam nieustannie o szerokim świecie, który się roztaczał gdzieś po za murami tego klasztornego więzienia, o jego próbach, troskach i zmiennych kolejach, o tych coraz nowych wrażeniach, mieszczących w sobie to cierpienia, to nadzieje i wtedy odwaga moja się zapalała na myśl rzucenia się śmiało w odmęt świata, choćby mi i zginąć tam przyszło.

Pewnéj nocy, obudziłam się wreszcie tak zmęczona oschłym i jednostajnym trybem naszego zakładu, tak spragniona swobody, zmiany i nowych wrażeń, że nie mogłam już myśléć dłużéj o walce w któréj czułam że zostanę pokonaną.

Cała sypialnia była pogrążona we śnie. Sama będąc ze swemi myślami, wytężyłam wszystkie siły mojego umysłu na odkrycie sposobu wydobycia się z Lowood.

Tysiąc planów układałam i odrzucałam z kolei, bo każdy trudnym był do wykonania. Gorączka rozpalała mi głowę, nerwowy niepokój podnosił z posłania...... ale po niejakim czasie, znużona, złamana bezsennością, skostniała od rannego chłodu, musiałam się znowu położyć i już traciłam wszelką nadzieję pokonania trudności mojego położenia, kiedy Anioł pociechy zesłał mi wreszcie zbawienne natchnienie.

Wszakże gazeta hrabstwa, rzekłam do siebie, przyjmuje wszelkie ogłoszenia od osób potrzebujących umieszczenia, dla czegóżbym ja nie sprobowała poszukać za jéj pośrednictwem nieco lepszego i mniéj zależnego położenia od tego, na jakie mię tu los skazuje?

To postanowiwszy zmyśliłam powód udania się do Lowton, dokąd odniosłam sama list frankowany pod adresem redakcyi gazety prowincyonalnéj. List ten zawierał starannie napisane ogłoszenie, młodéj nauczycielki podejmującéj się wychowania jednéj lub kilku uczennic, nie mających więcéj jak lat czternaście, i ofiarującéj się udzielać przy innych naukach, lekcye muzyki, rysunku i francuzkiego języka. Prosiłam aby odpowiedź (jeżeli jaka będzie) była zaadresowaną do Panny Joanny Eyre w Lowton. Tam bowiem miałam się o nią co tydzień dowiadywać.

Nie długo czekałam. Za piérwszém zgłoszeniem się do biora pocztowego, zastałam list następującéj treści.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).
